

— To tylko przypuszczenie — rzekła Marfa, Aleksey zaś dodał:

— W każdym razie twój strzał wydaje mi się podejrzanym.

Miron, zwracając się do otoczenia, powiedział:

— Słyszycie, co on mówi?

— Niedorzeczność — rzekł Czepuchin. — U nas tak zawsze. Zaraz denuncjacja, prowokacja...

— Odpowiedzcie wy mi za to — kończył Miron, gdy wojsko ustawiało więźniów dwójkami w szeregi.

— Milczeć — zawołał grzmiącym głosem rotmistrz. — Dalej, w drogę.

Pochód ruszył w milczeniu. Tylko Miron zuchwale odezwał się do dowódcy:

— Panie rotmistrzu, proszę się zachowywać przyzwoicie. Kiedy rewolucja zwycięży, my będziemy wieszć was, nie wy — nas.

— Sługa pokorny! — rzekł szyderczo rotmistrz. — Czekam na twoją gilotynę, *citoyen*! Śmieciarze wy, nie rewolucjonści.

— Niech żyje rewolucja! — krzyknął Miron, a panny szeptały między sobą:

— Ach, jaki dzielny człowiek, ten Miron. Prawdziwy bohater!

I ruszyli w drogę — i dowlekli się do miasta Kaługi. Rozsypano ich po rozmaitych turmach i więzieniach. Fiedor znalazł się w tej celi, w której siedział do ostatniej chwili. Wprowadził go Siemion i mówił mu w ten sposób:

— Siadaj tu, Fiedor. Tu będziesz mieszkał do śmierci.

— A gdzie mój syn? — pytał Fiedor.

— Ja tam nie wiem. Pewno już się z nim nie zobaczysz.

— A gdzie jest Marfa?

— Czort ją wie. Na! masz tu chleb i kaszę. Pomódl się do Boga bo cię niedługo powieszczą.

— Za co powieszczą?

— Już mają za co. Buntowszczyk jesteś, broń chowałeś, papiery.

— Ale, żeby ja co gdzie, kiedy, jak, taż nigdy, nigdzie, nic, nijak...

— Teraz kładź się spać, jeżeli ci sumienie pozwoli. A ciebie albo powieszczą, albo ci łeb utną — o tak! — I mówiąc to, Siemion przesunął ręką po szyi Fiedora, że aż ten zaczął wic się z bólu.

* * *

Fiedor obudził się ze snu. W sieni więziennej paliły się lampy — i światłem, drobnym kwadratem, we drzwiach wyciętym, przenikało do celi. Na zegarze wleziennym ponuro zabrzmiało dwanaście uderzeń. Północ.

Fiedor z przerażeniem spoglądał wokoło.

— Ach, co mi się to śniło, rojło... Dziwowska same. ...Skąd mi to przyszło. To ja już dziewięć miesięcy. Skąd mi się wziął ten sen. Łeb mi utną, o tak! Nie, nie ucięli mi jeszcze...

I siedział w bezmyślnej apatii. Pił wodę — i resztkę chleba dogryzał. W tym czasie wszedł znowu do celi Siemion. Miał w ręku osobliwą zabawkę: była to mała szubieniczka z lalką w kostiumie więźnia.

— No, cóż — zapytał Fiedora — namyśliłeś się?

— A ty co masz w ręku? — zapytał Fiedor.

— Mały słupczyk. Chciałem ci pokazać, jak się to robi. Widzisz: to szubienica, ta lalka, to skazaniec, a tu sznurek, a tu blok, a tu kółko. On kładzie głowę tak — ty ciągniesz tak, a on idzie w górę, tak. Takie to proste, a ty dureń — nie chcesz!

(D. c. n.)

ADAM BRZEG.

Zwierciadło kobiety.

Powieść.

XIV

Wielki, obszerny korytarz, wyscielany dywanami, dzieł pałacu na dwa rzędy pokoi. Ściany malowane w subtelne desenie o wesołe były cennymi obrazami, przeważnie starymi, olejnymi płótnami przodków i antenatów dawnych właścicieli pałacu. Tu polyskiwał lity pas na karmazynowym kontusz jakiegoś podgoloręgo szlachciury, tam jaśniały srebrzyste blachy zbroicy jakiegoś powstańca o marsowej minie i czarnych, sumiastych włosach. Przez chwilę poczęły oczy Szeligi na subtelnej minaturze: jaśniejszy uroczy blondynki, spoczywającej w owalnych ramach, za-

lotnie rzucającej oczyma ku przechodniom i kryjącej usta w trzymaną w ręku szkarłatną, cudownie, jak żywą, malowaną różę.

— Czy ogładną panowie każdy pokój po porządku? — pytał się stary Tomasz.

— Tak panie, ja chciałbym nawet ponotować w każdym po oju, mniej więcej rozkład mebli, rozmiary pokoi, bo nabywca chciałby być bardzo szczegółowo poinformowanym — odrzekł Szeliga.

I wyciągał notatnik, by na nim szkicować podział komnat pałacowych i rozmiary pokoi. Pałac był rzeczywiście misternym cackiem, zadawałającym najsztelniejszy gust smakosza.

Nie było tu niczego z taniej dorobkiewiczowskiej tandety; każdy pokój urządzone był w odmiennym stylu, z doбором odpowiednich mebli do tła malowideł pokojowych, wspaniałe świeczniki, dywany, obrazy, setki tych małych drobiazgów, które kolekcjonował ktoś ze specjalną pasją.

— Pokoje gościnne — rzekł krótko Tomasz.

Goście obeszlą kredensy, jadalnię, pokoje dla służby, bibliotekę, pokoje kąpielowe, wszystko utrzymane w nadzwyczajnej czystości, w swoistym, styl i dostosowanym do celowości użycia.

— A gdzie były pokoje pana barona de Choderry? — spytał Korski.

— Obaj panowie, pan baron i pan porucznik mieszkali na pierwszym piętrze. Tam są najpiękniejsze pokoje, tam jest sala zbudowana w stylu rzymskim, gdzie odbywały się zawsze przyjęcia dla gości.

— Pan porucznik Tongère wyjechał razem z panem baronem? — spytał nagie, tak mimochodem, Korski.

— Tak jest, wyjechali razem do Genewy, a potem do Francji. To byli wielcy nierozłączni przyjaciele.

— Louis Tongère, porucznik-pilot, a więc to on napewno, rozważał tymczasem Szeliga.

I myślał już teraz wyłącznie nad tem, jak tu uczynić, by w pokojach, zamieszkiwanych stale przez obu francuzów, pozostać jaknajdłużej, obejrzeć każdy najmniejszy sprzęt, otworzyć każdą szufladę, przejrzeć wszystkie listy i papiery, czy między nimi nie znajdzie się coś, coby wyjaśniło zagadkę tajemniczego zgonu Iry Humanieckiej.

Po puszystym dywanie, osłaniającym szerokie schody o poręczach, pokrytych rzeźbami i złoceniami, weszli na piętro. Wielkie, kryształowe lustra zdobiły tu co chwilę ściany korytarza, a po rogach, na postumentach, wznosiły się rzeźby, odlane w brązie i w białym rzeźbione, kararyjskim marmurze.

Cicho otworzyły się jakieś drzwi, ciężka, brokatowa kotara uchyliła się i oto obaj obcy znaleźli się w jakimś zaciszem, miękkim sanktuarium snu. Zdało się, jakby tam, pod osłonami jedwabnego wzorzystego baldachimu nad szerokim łóżem spoczywał ktoś jeszcze uspiomy. Białe skóry niedźwiedzie rzucone na podłogę i okrywające całą otomanę, dostrojone były do bladego, złocistego, tonu tapet pokojowych. Biel, srebro i złoto dziwne robiły wrażenie jasności w tej wykwiśniętej alikowie, złowieściełago chyba nieco mężczyzny, który tu nocę przepędzał.

— Sypialnia pana barona — rzekł Tomasz. Szeliga i Korski spojrzeli na siebie w milczeniu.

— No tak, przyznać trzeba, że w tej sypialni spać można smacznie i rozkosznie — rzekł Szeliga.

— Zwłaszcza w ramionach kobiety kochanej — zaśmiał się Korski.

A stary Tomasz zrobił dyplomatyczną minę, jak człowiek, który więcej wie, niż może i chce powiedzieć, i rzekł poważnie:

— O, pan baron ten to był człowiek cnotliwy. Miał w życiu wielkie nieszczęście. Już podczas wojny stracił młodą, bardzo piękną żonę. Oto jej fotografia koło łóżka i na biurku. Jechał samochodem, który sam prowadził i gdy przejeżdżał przez tor kolejowy, nagle nadjechał pociąg pospieszny i rozbił tylną część samochodu, zabijając panią baronową i szofera. Pan baron i ktoś z jego znajomych wyszli tylko z kontuzją z tego wypadku.

— Od tego czasu, po stracie ubóstwiej żony, baron nie znał innych kobiet. Bywał w towarzystwie, a jakże, ale tu w tej sypialni zaręczam panom, nie była żadna...

— Za to używał pewnie porucznik Fongère — rzekł dziwnie jakoś twardo, przez zaciśnięte gardło Szeliga.

— O tak, ten miał powodzenie. Bez niego to pan baron wpadłby w melancholię. Ten

był duszą całego pałacu, on ożywiał wszystkie salony, spraszał gości, sprowadzał tu zagraniczną orkiestrę, tancerki wschodnie, umiał się bawić i rozruszać barona.

— Tak?, to tak tu wesoło bywało? — spytał Korski.

— Z początku żyli obaj jak odludki. Tylko spacerować po parku, książki, długie dyskusje. Ale pewnego dnia pan Fongère zakochał się w pięknej pani z miasta. Coraz częściej zniknął z pałacu. Pan baron osiwiał, posmutniał, sam kręcił się po pustym pałacu. Ale po pewnym czasie, wszystko się zmieniło. Nawet baron zaczął wyjeżdżać do miasta razem z porucznikiem. Bo piękna pani była bardzo podobna do nieboszczki baronowej. I tak potem bywało, że porucznik się kochał i szalał za nią, a pan baron wpatrywał się w nią, jak w obraz, bez słowa.

— Bywała tutaj ta pani? — wyjąkał dziwnie niezgrabnie Szeliga.

— Tak, to cała historia z tą kobietą — rzekł Tomasz i ręką kiwnął. Ale może panowie zwiedzą dalsze pokoje, bo mamy jeszcze piękne rzeczy i piękne salony do obejrzenia.

A obaj goście, choć niechętnie, boć woleli słuchać tak interesujących szczegółów opowiadania starego lokaja, zgadzali się na to, czując, że trzeba skorzystać z pierwszego, lepszego momentu i wyciągnąć starego Tomasza na dłuższe opowiadanie, by dotrzeć wreszcie do sedna tajemnicy o pięknej pani, którą kochali obaj cudzoziemcy.

Obok sypialni barona była piękna, marmurowa łazienka z natryskami, tuszami i całym aparatem nowoczesnej higieny. Pokój za pokojem, szczegół za szczegółem oglądali powoli, a Szeliga notował skrzętnie każdy pokój, by tylko utrzymać się w przyjętej na się roli pełnomocnika przyszłego właściciela willi.

Znaleźli się wreszcie w przepięknej, oibryzmiej sali, urządzonej, jak się Tomasz wyrażał, w stylu rzymskim. Była tu jakaś dziwna mieszanina. Pełno mistrzowskiego epikureizmu, renesansowego polotu w urnach kamiennych, w których płonęły pod wieczór ognie, i barokowego przeładownia w ozdobach, złotych fryzach, malowidłach, freskach, które tysiącem barw grały w tej niezwyklej kornacie, poświęconej zabawie i nowoczesnej, wyrafinowanej skromności, spędzania długich godzin nocy na dolce far niente, w gronie pięknych kobiet, przy subtelnej muzyce ukrytej za kotarą, przy wyrafinowanych narkotykach i podnieciach, działających na wyobraźnię i zaostrażających we wszystkich fibrach finezję odczuwania i wchłaniania nektarów rozkoszy i wpół-ozolomienia.

Dziwaczne miękkie meble, szerokie, tureckie otomany, zarzucone wzorzystymi poduszkami i poduszczykami, fotele wygodne, a w środku komnaty, jak w atrjum starożytnym, cicho szemrząca fontanna, otoczona czterema kamiennymi postumentami, w których, gdy gaszono światła, płonęło szkarłatne łuczywo, a w świetle tej różowej łuny pisały tancerki wschodnie, niemal nagie w swym wdzięku śniadych, przebiegłych ciał o kruczonych włosach, sunące w widmowym korowodzie i ruchach wpółsensnych, w takt cichej melodii skrzypiec rozelkanych...

A potem zwiedzano mieszkanie porucznika Fongère, który zajmował po drugiej stronie korytarza trzy piękne, przytulne, jasne i słoneczne pokoje. Panowała tu jakaś przedziwna, uśmiechnięta jakby wieczyste wesołość. Ściany obwieszone obrazami pięknych kobiet, mały aeroplan, niby model powietrznej zabawki wisiał u sufitu jednego z pokoi, na stolikach pisma ilustrowane francuskie i angielskie, figurki, tańczące zapamiętałe menueta, czy tango, fotografie kobiece na biurku, portrety, książki ozdobnie oprawne.

Szeliga z nerwowym niepokojem podszedł ku biurku, by przyjrzeć się fotografom w złotych ramach. I mało nie krzyknął w tej chwili głośno, ujrawszy na szerokim biurku cudzoziemca uśmiechniętą rozkosznie, o wielkich, głębokich oczach, i lokach złotych opadających na jasne czoło — twarz Iry.

Z boku stała znów jej podobizna we futrze, smukła, subtelna, z główką dziwnie wytworną na tle puszystego kołnierza miękkiej, czarnej, tak odbijającej od bieli jej cery, foki. Tuż obok na kartce pani Iry w smukłej, czarnej amazonce na koniu, tak dumnie siedząca na rasowym rumaku.

— Iry, kochanką Fongère, obdarowująca go swymi podobiznami. Brak jeszcze jednej fotografii, jej, nagiej, leżącej na miękkim, białym, niedźwiedziem futrze...